

PECH

AGNIESZKA

KOWALSKA

BOJAR



Pech

Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydawnictwo Motylewnosie

Poznań 2025

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Copyright © Motylewnosie

Wydanie I

Poznań 2025

Ebook ISBN 978-83-940307-7-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Korekta i redakcja: Sylwia Dziemińska,
korektaprzykawie.pl

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

Patronaty



Dziękuję!

Siedziałam, ponuro wpatrzona w krajobraz rozciągający się za oknem. Pogoda wyświadczyła mi przysługę i lało jak z cebra, co idealnie współgrało z parszywym nastrojem, jaki mnie opanował.

Ostatnie tygodnie obfitowały w wydarzenia, które wstrząsnęły moją spokojną egzystencją. Wcześniej żyłam sobie bez większych zmartwień, a podstawowym problemem bywały pęcherze na stopach, przeszkadzające w dalekich, pieszych wędrówkach, które uwielbiałam albo obawa przed niezaliczeniem sesji, chociaż bez większych trudności dostałam się na wymarzony kierunek.

Żyłam więc sobie całkiem normalnie, jaki tysiące innych dziewczyn w tym kraju. Może i trochę powiewało nudą, ale lubiłam ją, bo w jakiś sposób zapewniała mi bezpieczeństwo.

A teraz? Teraz już sama nie wiedziałam, jak to wszystko się potoczy.

Pojawił się mężczyzna. Niby normalna rzecz, ale to nie był pierwszy lepszy mężczyzna. Na dodatek chyba się w nim zakochałam. Potem to całe morderstwo... Tak,

nazywajmy rzeczy po imieniu, bo w żadne tam samobójstwo nie wierzę. I jeszcze moja siostra oświadczyła, że jest w ciąży. I to z kim!

Jęknęłam, tarmosząc włosy.

A przecież wszystko zaczęło się tak niewinnie...

Punkt pierwszy. Miejscowy macho.

Tak to już bywa, że na każdą okolicę przypada jeden łamacz kobiecych serc albo, mówiąc wprost, seryjny deflatorator. U nas też takowy się znalazł, chociaż nie było to napakowane sterydami chłopię, ubrane w opinającą wyoliwkowane mięśnie koszulkę i rozbijające się po drogach podrasowanym bmw. Nasz regionalny macho miał też zasięg ogólnopolski i równie często bywał na okładkach słynnych gazet, jak i na językach miejscowych plotkar.

Wszystko zaczęło się ponad trzydzieści lat temu. Na wakacje pod namioty przyjechało kilku miastowych chłopaków. Jednemu z nich wpadła w oko miejscowa piękność, Kaśka, dziewczyna krzepka, konkretna, może i rozumem nie grzesząca, ale posiadająca zmysł praktyczny. Zaloty miastowego wymoczek odrzuciła ze wzgardą. Miastowy wymoczek się nie poddał, był wytrwały, aż w końcu zbałamucił wybrankę przy pomocy kilku flaszek wina marki „Wino” oraz paczki kruchych ciasteczek. Po zbałamuceniu zniknął, a Kasieńka dokładnie dziewięć miesięcy później powiła dorodnego chłopca. Czas mijał, dziecię dorastało, przysparzając

matce trosk, bo rozrabiaka był z niego słynny na całą okolicę. Nadeszły też czasy celebrytów, którzy zaczęli wyglądać z każdego kąta, co pomogło w końcu nadobnej Kasieńce namierzyć tatusia jej pociechy. Arturek skończył dwanaście lat, kiedy mamusia elegancko go wystroiła i zawiozła do miasta. Wprost pod wieżowiec będący siedzibą firmy niewiernego kochanka. Była przygotowana była na bitwę, ale żadnej nie było.

Po pierwsze, hipotetyczny tatuś za nic nie wyrzekłby się potencjalnego syna, bo dziecię było do niego niezwykle podobne – te same oczy, ten sam rys stanowczości, ta sama twarz, figura i kolor włosów. Testy genetyczne nie były potrzebne. A po drugie, od dziesięciu lat z utęsknieniem czekał na potomka, bo złośliwy los do tej pory takowego mu odmawiał. Arturek był dla niego jak dar niebios, przyjął go z otwartymi ramionami, posadził na tronie i zaczął hołubić. Kasieńka była łaskawa okazać zadowolenie, wyrzutów za porzucenie nie robiła, za to zaczęła pławić się w luksusie. Synek nie w ciemie bity, też nie protestował, chociaż on dodatkowo był wniebowzięty z faktu posiadania ojca. Przecież niejedną walkę stoczył, broniąc dobrego imienia matki, niejedną ząb wybił za nazwanie siebie bękartem.

Żyli sobie przez lat dziesięć w luksusie, egzystując jako stadło oficjalne, po czym szanowny tatuś dostał udaru, sprawnie i szybko schodząc z tego padółu łez. Firmą zajął się jego brat, Karol, wujcio Arturka i dziedzica fortuny. Wujcio morderczych zamiarów wobec bratanka nie żywił, sam potomstwa nie posiadał, a ponadto doskonale wiedział, że młody jeszcze przez długi czas nie zajmie się na poważnie firmą. Zresztą, nawet

jakby mu się odmieniło, to nic nie szkodzi, bowiem Karol poderwał sobie świeżo upieczoną wdowę, do której wzdychał już od kilku ładnych lat. Wdowa najpierw oponowała, ale po przełamaniu pierwszych lodów dostała wręcz małego rozumu, zakochując się bez pamięci. Karolek więc doglądał schedy, Kasieńka płała się w rozkoszach łoża małżeńskiego, a Arturek szalał po całym świecie. W końcu postanowił odetchnąć, kupił opuszczony dworek w rodzinnej wsi, wyremontował i tam się wprowadził, czyniąc go miejscem rozpusty. Miejscowi na dźwięk słów dworek Zalesie spluwali z obrzydzeniem, mało brakowało, a jeszcze by znak krzyża czynili. Dawni właściciele z pewnością obracali się w grobach, widząc, jak nagie panienki tabunami hasają po ogrodzie, a gonią je rozerotyżowani, także nadzy, panowie. Materiału do plotek dostarczali okolicy nieliczni zatrudnieni tubylcy. Na żywo rozpusty nie widział nikt, bo posiadłość otoczono murem, dodano do tego drut kolczasty pod napięciem oraz tuzin zębatach piesków, co to tylko czekały, aby pogonić intruza.

Pewnie Artur pomieszkałby tutaj jeszcze z rok albo i dwa, po czym wyprowadził, pozostawiając po sobie mity, legendy i baśnie, gdyby nie wtrąciło się przeznaczenie. Przeznaczenie w osobie mojej rodzonej siostry.

Punkt drugi. Ida.

Historia naszej rodziny zaczyna się od prababki megiery, co to podobno ośmiu chłopu wykończyła. Po

blіższym zapoznaniu z wpisami w księgach kościelnych okazało się, że owszem, może i wykończyła, ale nie ośmiu, a trzech. Przy czym ostatni zginął na froncie, więc udział własny prababki należało wykluczyć. Z tych trzech małżeństw wyżyło pięcioro dzieci, co później przekształciło się w cały tabun wnuków i prawnuków. Posiadłość po przodkach, czyli chałupę krytą strzechą oraz dwa hektary ziemi dziedziczył najstarszy. Koneksji szlacheckich nie stwierdzono, więc w międzyczasie władza ludowa niczego nie zabrała. Potomkowie rozpierzchli się po świecie, został jedynie mój tatko, z wykształcenia i zamiłowania leśniczy. Mama za to miała fioła na punkcie wszelkiego zielska, więc dobrali się znakomicie. Chałupa kryta strzechą zamieniła się w całkiem niezły dom, a rodzice doczekali się pięciu pociech, przy czym tutaj los odmówił swej łaskawości i było to pięć córek, które pojawiały się na świecie dokładnie co dwa lata. We wsi przebąkiwano, że to może kara za prababcę, bo żoła z niej była niesłychana, ostrym językiem sprawnie operująca, nikogo nie oszczędziła, ale to tylko plotki.

Najstarsza, Izabella, przykładnie skończyła studia, wyszła za mąż, dorobiła się uroczej dwójki synów i zamieszkała w pobliskim miasteczku. Kolejna, Irena, wzgardliwie potraktowała możliwość założenia stadła oficjalnego, zajmując się karierą naukową. Konkretnie paleontologią. Zamieszkała w mieście, chociaż i tak więcej jej nie było, niż była we własnym mieszkaniu. Średnia, Irmina, z trudem zdała maturę, porobiła odpowiednie kursy, po czym oświadczyła rodzinie, że chce zostać misjonarką. Od tego czasu dostajemy

pocztówki z murzyńskimi dziećmi, przy czym ewidentnie nie wyglądają one na zagłodzone. Nic dziwnego, Irmina przez całe życie uwielbiała karmienie zbiorowe. Jak przygotowała obiad, to nikt nie odszedł od stołu, póki wszystko nie zostało wyjedzone co do ostatniego okruszka. Widocznie te ciągoty jej pozostały, chociaż nigdy nie dowiedzieliśmy się, skąd bierze artykuły spożywcze w afrykańskim buszu.

W domu zostały dwie najmłodsze córki. Ida i ja. Przy czym właśnie moja starsza o dwa lata siostra przysparzała rodzicom zgryzoty. Uczyć się nie chciała, pracować również. Próbowwała zrobić karierę piosenkarki, ale głos miała do bani, nawiasem mówiąc, słuch też. Na modelkę za niska, metr siedemdziesiąt w kapeluszu, bo wzrost odziedziczyłyśmy po mamie. Tatko ledwo mieścił się w futrynie, i to w obu wymiarach: chłop jak dąb, bary jak tur, do tego sumiaste wąsisko. Za to jego wybranka była niska, pyskata i piękna. Na szczęście urodę też odziedziczyłyśmy po mamusi. Na bazie tej urody Idusia usiłowała się wybić, ale z miernym skutkiem. Aktorstwo odpadało, bo na scenie była jak ten drewniany kołek i ewentualnie taką rolę jako reżyser bym jej powierzyła. Nic ponadto. Aktualnie Idusia dała sobie spokój z karierą, a zaczęła szukać bogatego męża. Bardzo bogatego. Szejk arabski też był brany pod uwagę, o ile takowy zjawiłby się w naszej wiosce.

Obecność Artura to był dla niej dar niebios! Facet przystojny, ustawiony, kasiasty, a do tego w pobliżu. Lecz tutaj pojawił się problem, bo Artur na wycieczki się nie wybierał, po lasach nie hasał, okolicy nie zwiedzał, krewnych ignorował. Słowem – ze swojej fortecy nosa

dotychczas nie wychylił, a jako środek transportu wybrał śmigłowiec. Ida rozmyślała, planowała, knuła aż do dnia, gdy opatrność postanowiła się nad nią zlitować.

Ktoś umarł. Nic dziwnego, zawsze ktoś umierał. Ale tym razem tym kimś była rodzona ciotka Artura. Kasieńka może i zważniała, ale rodzinę odwiedzała, hojnie ją wspomagając w potrzebie. Na pogrzebie nie mogła się zjawić, bo przebywała aktualnie na drugim końcu świata, więc wydelegowała syna. Syn, rad nie rad, nie odmówił, bo mimo wszystko z matką był zżyty i mówiono, że jest ona jedyną osobą, która ma na niego wpływ. Ida za to wpadła w szal radości, sprawiła sobie megaseksowny strój żałobny, kupiła bukiet krwistoczerwonych róż oplątanych czarną wstążką, po czym oznajmiła nam, że idzie na pogrzeb jako przedstawicielka naszej rodziny. Nie zaprotestowaliśmy, chociaż ja zaczęłam się domyślać, co knuje, gdy tylko zobaczyłam, w co Ida się ubrała.

Nie mam pojęcia, co tam zaszło, ale przypuszczam, że moja siostrzyczka wpadła miejscowemu macho w oko. Osobiście wcale mu się nie dziwię, bo zołza była niezwykle urodna, chyba najładniejsza z nas wszystkich – długie, złociste włosy otaczały niewinną twarzyczkę o malinowych ustach i błękitnych, niewinnych oczach. Za to charakter miała najgorszy, wypisz, wymaluj prababka...

No nic. Arturowi pewnie błysnęło w oku, Ida dyskretnie wzbudziła jego zainteresowanie, posyłając kuszące spojrzenia, po czym na stypę nie została zaproszona i wróciła do domu.

Miejscowy macho nie spieszył się, słusznie wnioskując, że zwierzyna jest tutejsza i zaraz mu nie umknie. Pod dom wybranki przybył dopiero trzeciego dnia.

Niestety, miał pecha, bo wybranki nie było. Pojechała z rodzicami do miasta, bo miała umówioną wizytę u dentysty, a swoje zęby traktowała niczym świętość.

Za to natknął się na mnie.

Ziewnęłam szeroko, wkładając do kieszeni kolejne jabłko. Po namyśle dołożyłam jeszcze dwa. Będąc już w korytarzu wsunęłam na nogi kalosze, bezmyślnie gapiąc się na stojącą w rogu myśliwską flintę taty. Nie miałam jej na wyposażeniu, ale właśnie w chwili, gdy zamierałam opuścić dom, zadzwieczał dzwonek.

Trochę mnie to zaskoczyło, bo prawie nigdy nie był używany. Sąsiedzi po prostu pukali do drzwi, a mieszkańcy domu w ogóle pomijali pukanie. Ostrożnie uchyliłam firankę.

Nasz dom był budowlą przedwojenną, usytuowaną na krańcu wsi. Owszem, stał frontem do ulicy, po prawej majaczyła następna chałupa, ale z pozostałych trzech stron był otoczony lasem. Zresztą, droga asfaltowa kończyła się tuż za naszą posesją. Od drzwi wejściowych do furtki było zaledwie trzy metry, a za furtką stał wysoki mężczyzna. Że nie miejscowy, tego byłam pewna od pierwszego spojrzenia, ale myśl o tajemniczym Arturku pojawiła się po dłuższej chwili konsternacji. Mgliście

pamiętałam tę rudą, piegowatą fizjonomię, lecz wspomnieniom z dzieciństwa dopomogła wiedza z internetu.

– Co tak późno? – mruknęłam, sięgając po tatową flintę. Ida może i miała plany, ale ja byłam pewna, że ktoś taki jak Artur planów małżeńskich nie miał. Olałam dobre maniery, postanawiając skutecznie odstraszyć zalotnika. Geny prababki odezwały się we mnie gromkim głosem, a palce same zacisnęły się na wypolerowanej kolbie. – Ja ci dam, skubańcu, amory!

Wysłałam na ganek, przybierając możliwe najbardziej groźny wyraz twarzy. Broń na moim ramieniu kołysała się rytmicznie. Kurtka przeciwdeszczowa szeleściła złowieszczo. Ale na mężczyźnie stojącym po drugiej stronie ogrodzenia nie uczyniło to pożądanego wrażenia.

– Ja do Idy – oświadczył wyniośle, mierzając mnie pogardliwym, lekceważącym spojrzeniem.

– Idy nie ma – odpowiedziałam grobowym tonem. – I nie będzie.

– Bo? – spytał drwiąco, opierając się o stojącą za jego plecami lśniąca, wypasioną brykę.

– Bo ją zabiłam... – dodałam jeszcze bardziej posępnie.

W końcu go замуrowało. Może gdyby nie broń, którą dziarsko ujęłam w obie ręce, to od razu zrozumiałby, że żartuję. Stara flinta taty zachwiała tą pewnością. A ja mogłam się w końcu przyjrzeć żywej legendzie, złu wszetecznemu i co tam jeszcze przyszło do głowy miejscowym plotkarom. Zło wszeteczne wygląd miało za milion dolarów, a brykę za plecami może nawet za dwa. Z początku wydał mi się wysoki, ale tak naprawdę był

średniego wzrostu. Szczupły, bez przerostu mięśni nad rozumem, nieźle zbudowany. Twarz owalna, o trójkątnym podbródku, nieco zakrzywionym nosie, z elegancko przystrzyżonym zarostem. Włosy modnie zaczesane do góry, po bokach wygolone, ciemne, o nieco rudawym odcieniu, chociaż możliwe, że to była wina słońca. Czy ni to zielone, ni to niebieskie. Ich kolor uwypuklała jeszcze ciemna oprawa rzęs i brwi. Oczywiście miał też opaleniznę jak z hawajskich plaż i zęby, które raziły swą bielą. Najbardziej spodobały mi się jego usta, o asymetrycznie uniesionym jednym kąciku, jakby ich właściciel nieustannie z czegoś kpił. Zresztą, może to prawda?

– Jak to zabiłaś? – wydukał w końcu niepewnie.

– No żartowałam – oświadczyłam pojednawczo. – Zabiję ciebie. – Na potwierdzenie swych słów potrząsnęłam trzymaną bronią.

– Myślałam, że w okolicy nie ma psychiatryka – mruknął Artur, któremu nagle zebrało się na odwagę. – Powiedz, dziecko, gdzie twoi rodzice? I dlaczego pozwalają ci się bawić bronią?

Skoro przestał się bać, nie było sensu dalej robić z siebie idiotki.

– Wyjechali razem z Idą do miasta. Przyjdź jutro.

– Jutro? – Nie spodobało mu się to. – Odprawiasz mnie z kwitkiem?

– A co niby innego mam zrobić?

– Wiesz, kim jestem? Kim jest mój ojciec?

– Wiem. Nieboszczykiem – odparłam zgodnie z prawdą. Biedny Artur gwałtownie poczerwieniał.

– Słuchaj, smarkata – zaczął groźnie. – Przekaż księżniczce, że za pięć dni, w sobotę, organizuję przyjęcie. Jak chce, niech się zjawi. Jak nie, jej strata, ja płakać nie będę.

Arogancję i pychę miał wypisaną na twarzy, lekceważenie w oczach, a ja nie cierpiałam jednego i drugiego. Najchętniej przestrelałabym mu któreś kolanko, ale za to mogłam trafić do więzienia. Wybrałam inne wyjście, może i kosztowne, lecz mojej satysfakcji nie dało się policzyć materialnie.

Huk wystrzału zmieszał się z niehumanym rykiem. Z zadowoleniem spoglądałam na prawy błotnik wypasionej bryki, która już nie była taka wypasiona. Później na purpurowego z wściekłości Arturka. Mariaż Idy zniknął za horyzontem zdarzeń, za to ja zastanowiłam się, czy moje oszczędności w całości pójdą na rekompensatę, czy zostanie mi na lody.

Pokonany wróg bluzgnął wiązanką przekleństw, po czym uznał, że pora na ewakuację i zniknął z placu boju. Jedynym śladem jego obecności była zatknięta w płocie koperta. Zaproszenie, którego w żadnym wypadku postanowiłam nie przekazywać Idzie. Wsadziłam je w kieszeń, wydając stamtąd jedno jabłko, po czym udałam się na obchód lasu, jak nazywałam zwyczajowo moje długie spacerunki po okolicy.

PO WIĘCEJ EBOOKÓW ZAPRASZAMY NA:
WWW.MOTYLEWNOSIE.PL
WWW.SKLEP.MOTYLEWNOSIE.PL

POZWÓL SOBIE NA ODROBINĘ LUKSUSU...



Inny wymiar erotyki